Nr. 3. Lwów dnia 23 maja. 1871.

Wychodzi w dwóch arkuszach trzy razy w miesiącu: 3, 13 i 23. — Prenumerata zamiejscowa półroczna 4 złr., kwartalna 2 złr. — Prenumerata miejscowa półroczna 3 złr. 50 ct., kwartalna 1 złr. 75 centów.

WOLA
PISMO LITERACKIE.

Prenumeratę zamiejscową przyjmują wszystkie urzędy pocztowe pod adresem: do Administracji pisma „Wola“, Lwów, poste restante. Prenumeratę miejscową przyjmują wszystkie księgarnie lwowskie. Redakcja we Lwowie p. l. 720¹/₄.

I ten szczęśliwy, kto wśród zawodu
Legł świetnym wiedzion zapałem,
Bo jeśli poległ on ciałem,
Dał innym szczebel do sławy grodu.

Hej! ramię do ramienia! Spólnemi łańcuchy
Opaszmy ziemskie kolisko!
Zestrzelmy myśli w jedno ognisko,
I w jedno ognisko duchy! —

Adam Mickiewicz.

LISTY LITERACKIE.

Et meminisse juvabit.

III.

Nie masz nic bardziej upokorzającego, jak skargi pracowników, którzy raz wstąpiwszy na niwę pracy duchowej, utyskują, tłómaczą się, że niezdolni rozbudzić w sobie myśli twórczej, bo pracują na chleb powszedni, albo że się praca literacka nie opłaci, bo publiczność obojętna.

Kto nie pracuje z poczucia i dla przyszłości, ten i sukcesami chwili bieżącej nie długo cieszyć się będzie.

Ofiarna praca, poświęcenie? zapytują ci ludzie, którzy przecie wiedzieć powinni, że nie małej ofiary i poświęcenia sztuka wymaga. Jeżeli nie zbieramy owoców pracy naszej dzisiaj, to przynajmniej ta praca, te usiłowania świadczyć będą, żeśmy myśleli o potomności.

Doprawdy, bardzo jest skromne muzy żądanie, i wspaniałą dla niej świątynią będzie nawet izdebka na poddaszu, jeżeli syn jej u niej zawsze szuka natchnienia a nie tylko w zapłacie materjalnej.

Kto twierdzi, że do stworzenia rzeczy pięknej, trzeba oprócz nauki, pilności i duszy gorącej — jeszcze i wygódek i zapłaty, ten nigdy nie służył sztuce, ani jej służyć nie będzie; nie wyszedł z zasady sztuka dla sztuki, ale chyba jął się pracy dla interesu osobistego.

Wypowiedzieliśmy powyższe w celu usprawiedliwienia poniekąd skarg drugiej strony, którą jest publiczność.

Powszechnem jest mniemanie, że kupować i czytać „utworów fantazji nie warto, bo nie interesują, bo są jałowe, i nic dziwnego, myśmy bowiem spoważnieli, więc lepiej nawet, że nie pojawia się żaden talent poetycki w tym czasie realnego kierunku.“

Oto w przybliżeniu sąd publiczności, pozornie usprawiedliwiony.

Któż to jednak zakopał talenta młodzieży, czy tylko ona sama? Nie. — Ludzie, którzy dawali zły przykład swojemi postępkami — w dziełach.

Wszakże to dla uśmiechu niejednej powagi, przerażonej niedawną katastrofą w narodzie — ludzie młodzi pisali rzeczy, których nie powstydziłaby się starość zgrzybiała, ale za które rumienić się powinna młodość.

I oto fałszywi wielbiciele sztuki używszy jej za parawan, odarli ją z niebiańskiej szaty ideału, wyklęli ogień, bez którego ona jest mumią tylko. Spokój, harmonia, to także warunki sztuki, zewnętrzne. I dla tych form zewnętrznych poświęcili jej treść, ducha.

Bo i jakże było sięgać do głębi duszy narodowej, kiedy przestrzegano z przerażeniem, że tam są rany niezasklepione. To zerwanie z życiem sprowadziło jałowość umysłową w kole nawet tych, którzy pisać raczyli dla owej obojętnej publiczności.

I czyż wobec tego dziwić się można, że młodzież, aby nie uronić nic z mocy duszy, potrzebnej do prac poważnych, oczywiście w przyszłości(!), zobojętniała na wrażenia życia w świecie ideału a nawet odwróciła się od przeszłości? Ta moc duszy konserwowana, te zakopane talenta, to prawdziwe marnotrawstwo najżywotniejszych sił każdego społeczeństwa.

Sił duchowych nie zwrócono na pewne pole działania i myśl wszelką zabito. Bo czyż wystarcza powiedzenie: pracuj, bez wskazania nad czem?

Ale nawet i wskazanie gościńca nie wydaje pożądanego czynu; należało dać przykład. A jeżeli kto nie czuł w sobie siły popychającej do wydania myśli swych w słowie, powinien był raczej nie odzywać się zupełnie, nie zaś twierdzić, że to co wypowiada jest wyrazem usposobienia ogółu, i na podstawie tej szerzyć zwątpienie.

Zapewne, bywają chwile smutku, ogólnego zniechęcenia, ale w takim razie, jeżeli w nich niepodobna znaleźć wątku do obrazu, któryby ciepło rozpościerał, to prosta rada, wątpić samemu w cichości, ale nie kazać innym także zwątpić.

Zbawienniejszą jeszcze radę podaje na takie chwile Jean Paul kiedy mówi:

„W chwilach, w których trudno rozeznać tchórza od człowieka odważnego, opieszałego od pragnącego czynów a próchniejącego od człowieka pełnego wiary — w takiem stóleciu jest zaprawdę dla

pisarza jedyna tylko ucieczka: Niechaj wypatrzy przecie czas jakiś, stólecie, kiedy zacność szlachetna, miłość większa i wolność większa były feniksami, ptakami niebiańskiemi, a zapatrzony w stólecie podobne, niech potrafi te ptaki niebieskie malować tak długo i tak żywemi i jaskrawemi barwy, aż ptaszęta te życiem natchnione, same ulecą.“

ZMIERZCHY I ŚWITY.

POWIEŚĆ SPÓŁCZESNA W DWÓCH CZĘŚCIACH

PRZEZ

LUCJANA SZCZARĘ.

CZĘŚĆ I.

(Ciag dalszy).

W drodze, a nie mały to kawał drogi, choć konie rączo biegły — przypomniał Urban Euzebiuszowi dziwne jego raz odezwanie się, nim wyjechali z domu.

— Tak, kończył Urban, dziwnie mi brzmiały w uszach twoje słowa: z duchem czasu, z dobrem kraju, tak ironicznie wypowiedziane.

Korecki nie odpowiadał przez chwilę a nawet, co dziwniejsza, zdawało się Urbanowi, że sposępniał, i dopiero gdy przybyli do hotelu i weszli do pokoju, tu dopiero odezwał się Euzebiusz:

— Co wolisz, demokratę, czy frazes demokratyczny?

— Ja zasad moich nie zmieniam — odparł Urban.

— Zanadto serjo bierzesz moje zapytanie. A ja nie mam urazy do dobrych stron społeczeństwa, tylko do przesady lub do braków dosadności w postępkach, które zastępuje się frazesami.

— Więc?...

— Więc sądzę, — poznawszy dobrze — dokończył Euzebiusz.

— Jakto wszystkie warstwy, kiedy ja sam nie miałem czasu poznać jeszcze najniższe.

— Ale znasz średnie.

— Znam, serca jedyne — umysły — niestety spaczone. Ale... ale — wahał się Urban, w końcu zaś dodał:

— Cóż u was?

— Znasz mię, sądź!

— Tyś wyjątkiem.

— I ty także. I ty głową lgniesz do piękna, zatem i do formy. A serca podniosłości, powiedz mi szczerze czy wiele znalazłeś pośród klas średnich?

Urban zadumał się i zasmucił, jakby mu kto kamień położył na sercu. Westchnął ciężko, lecz nie tracąc serca, nie odstępując od przekonania, dodał:

— Wyjątków jednak wiele, bardzo wiele pośród tych właśnie stanów średnich, a potem oświata reszty dokona.

— Dokona, wierzę — z czasem. A tymczasem czy nie byłoby śmiesznem, abym ja, wyznaję śmiało, sięgający po przywileje Aristów, abym ja rozbił był serce pośród tych serc, jak twierdzisz jedynych.

Urban wpatrywał się uważnie w mówiącego, ten zaś ciągnął dalej:

— Dawno nie widzieliśmy się z sobą. Byłem bliski zajęcia się szczerze, nawet pokochania kobiety młodej, panienki ze stanu według mnie średniego. I wiesz co ją zabiło w oczach moich, właśnie serca niedostatek, poczucia brak. A powiadają, że gdzie niema dostatecznie rozwiniętego umysłu, tam serce, dusza zastąpi go domyślnością. Nieprawda.

— Owszem, prawdę tego stwierdzają liczne wypadki — rzekł Urban — i w wypadku, o którym mówisz, musiały chyba działać jakieś złe wpływy.

— Nie badałem dłużej, składam ci tylko dowód, że znam trochę świat, który chce iść przodem a sam się cofa wstecz.

— Ja zaś powtarzam pytanie, co ukażesz wyżej, gdzie, w czem to poczucie dobrego?

— Przyznałem ci przecież, że także rzadkie tylko wyjątki, a zresztą, zresztą są pozory. Czy to zachwyt, czy miłość, czy uwielbienie — jeżeli nawet nie szczere, to tak dosadne, że przechodzą powoli w krew i życie.

Urban wybuchnął głośnym śmiechem a mimo jego woli śmiech to był szyderczy.

— Dobrze, śmiej się — rzekł powstając z fotelu Euzebiusz, lecz pierwej pójdź i poznaj. — Jedźmy.

— Pójdę, poznam niewątpliwie i wrócę nieprzekonany.

— Założmy się.

— Ach! nie zakładajmy się — wyrzekł z ciężkiem westchnieniem Urban. Czyby jakie złowrogie przeczucie tak ścisnęło pierś męzką? Nie mógł sobie zdać sprawy; szedł machinalnie za Euzebiuszem i przez całą drogę milczał.

W tym samym domu, na tem samem podwórzu przy ulicy Świętojańskiej, gdzie znajdowało się pomieszkanie hrabiowskie i oficyna z ciekawemi pannami, przed werandą, z której prowadziły wschody do pokoi hr. Melsztyńskiego, wysiedli Euzebiusz i Urban.

Znowu cztery główki ukazały się w oknach oficyny i jednogłośnie powtórzono, że dwaj młodzi panowie bardzo przystojni mężczyźni.

Przystojni ci panowie nie wiedząc zupełnie o tem, że byli przedmiotem podziwu a może i westchnień, udali się na pokoje hrabiego. Przyjęcie było bardzo uprzejme, a nawet uprzedzające. I nie mogło być inne. Pan Euzebiusz Korecki miał, choć nie wiedział o tem wielkie zachowanie u hrabiego. Kiedy zaś przedstawił Urbana Stockiego, jako przyjaciela i człowieka, któremu praca przeszła w nałóg, i który życzył sobie kilka chwil wolnych zająć pracą jako sekretarz hrabiego, pan Melsztyński od razu traktował go inaczej, jakby to miało możność

miejsce z innym, mającym przyjąć ten obowiązek a nie zaszczyconym przyjaźnią Koreckiego.

Godzina ubiegła temu szanownemu towarzystwu, że ani się spostrzegli. Rozmowa, skierowana zręcznie przez Koreckiego na potrzeby, wady i niedostatki społeczeństwa, podsycana trafnemi uwagami Urbana, tembardziej, że musiał być ściśle przedmiotowym w swych wywnętrzeniach, — rozmowa szła gładko, kiedy niekiedy przerwana nawet pustym śmiechem z trafnych znowu żartów Euzebiusza gdy szło o wychłostanie śmieszności.

Nakoniec — rzecz najważniejsza dla Urbana — stanęła ugoda, że pan Stocki ma załatwiać wszelkie korespondencje z zawiadowcami dóbr hrabiego, ma go zastępować w kupnach i sprzedaży — słowem prowadzić niemal księgę główną, i za to otrzymywać będzie sto guldenów miesięcznie. Może, jeżeli mu się podoba załatwiać te sprawy w czterech godzinach, może i prędzej, jeżeli wydoła.

Lecz nie na tem koniec — Urban dzień ten musiał poświęcić uprzejmości hrabiego i przyjaźni Euzebiusza. Zaproszeni na obiad — zostać musieli, bo Korecki odmówić nie chciał a p. Stocki nie mógł.

Przed daniami wszakże nastąpiło najprzyjemniejsze i najważniejsze danie, oto przedstawienie wzajemne dwom paniom domu pana sekretarza i — pannie Łucji pana Euzebiusza, bo panią baronową Adelę znał już Korecki.

Wrażenie pierwsze stron obu, naturalnie pominąwszy hrabiego było — niestety, albo bardzo złe albo bardzo korzystne; po pierwszem bowiem wrażeniu każda z osób powiedziała sobie już coś w duszy.

Należne pierwszeństwo płci pięknej nakazuje zacząć od pani Adeli, jako robiącej honory domu.

Otóż pani baronowa powiedziała w cichości spojrzawszy na Urbana: Co za szkoda, że ten człowiek nazywa się Stocki, gdyby przynajmniej Stecki i...

To nieszczęsne *i* wypada chyba dopełnić autorowi, a ztąd żadna korzyść dla czytelników, powiedzą bowiem jedni, że posądza szanowną wdowę, inni że przesadza, słowem lepiej pozostawić to *i* domyślności szanownych czytelniczek.

Panna hrabianka Łucja nie widziała znowu nikogo tylko — eleganckiego, miłego, dowcipnego Euzebiusza Koreckiego.

O ileżby więcej może ujrzała w tem nazwisku, gdyby jej się przypadkiem kiedy była dostała do rąk historja narodu Polskiego.

Urban był jeśli nie olśniony, to z pewnością bardzo ujęty grzecznością pani baronowej Adeli. Zresztą spostrzegł też, że ta szanowna a piękna pani często miała oczy ku niemu zwrócone, oczy zaś te mięszały go, mąciły nawet zwykły spokój. Przyszło nawet do tego, że Korecki dał mu ukradkiem następujące napomnienie:

— Zmiłuj się bądź więcej kawalerski a najmniej serwilistą.

Ubodło to trochę zacnego reformatora ludzkości, lecz i pomogło, o ile pomódz mogło człowiekowi wprawdzie z otwartą głową, ale za mało może znającemu się na galanterji.

Cóż mógł powiedzieć pan Euzebiusz o wrażeniu, jakiego dożył spojrzawszy na młodą hrabiankę? Wyznawał, że tak wygląda jakby już przedtem kiedyś widział tę anielską twarzyczkę. Być może, iż podobną była do owej pierwszej znajomości, o której wspominał Urbanowi, tylko według przekonania Koreckiego, ta niezawodnie z umysłem szlachetniejszym.

Po obiedzie, od którego towarzystwo wstało dopiero około piątej po południu, poszli panowie do pokoju hrabiego, gdzie jeszcze ostatecznie zadecydowano, że pan Stocki od jutra w południe obejmie obowiązki sekretarza.

Panie przeszły do salonu w różowym humorze. A humor zależał głównie od usposobienia pani Adeli; kiedy miała chwilę szczęśliwą, to i panna Łucja była wesołą, wymowną i piękniejszą jak zwykle.

Panie zawiązały pogadankę od krytycznego poglądu o panu Euzebiuszu Koreckim i panu Stockim. Imię chrzestne tego drugiego nie było wspominane.

A nie była to krytyka pobieżna, którą spisawszy możnaby umieścić w fejletonie, ale rozbiór wszechstronny wszelkich zalet i niedostatków przed chwilą poznanych gości.

O! gdyby się mógł był Urban przeglądnąć w tem źwierciadle! Ani mu się śniło kiedy, że nawet każdy guzik u jego fraka podlegnie krytyce. A ileż braków w znalezieniu się. To szczęście jeszcze, że głos i wymowa miłe, że postawa ujmująca, twarz przystojna, to wszystko składało się na całość przecie znośną.

Skoro zamknięto księgę sądną nad panami, zakończyła się rozmowa pań następującym poniżej epilogiem, stanowiącym komentarz do powyższej krytyki. Warto posłuchać, któryś bowiem pisarz twierdzi, że dopiski w listach u pań bywają najciekawsze i najważniejsze a zatem i w rozmowie.

Pani Adela odezwała się do siostry swej młodziutkiej:

— Siostrzyczko moja — już przestań nudzić ojca o wyjazd. Tymczasem znajdziemy i tu na chwilkę roztargnienie.

Po chwili znowu zagadnęła:

— Czy wiesz, że masz już na szesnastą wiosnę? Tak, a ta wiosna powinnaby przynajmniej w pączek wykwitnąć.

Hrabianka uśmiechnęła się figlarnie i rzekła:

— Jestem bardzo niedomyślną, albo mówisz tak alegorycznie, że nic a nic nie rozumiem.

— Trzeba raz przyjść do rozumu i spróbować czy dość silny. Trzeba kogoś zająć sobą, ale samej strzedz dobrze serduszka, czy pojmujesz? Ach! doprawdy, gdybym twoje oczka miała, pan Euzebiusz... skończże sama.

— Ukląkł by...

— Ukląkł by? — tylko — zawołała z głośnym uśmiechem baronowa — w prochu by się czołgał i chciał by całować ślady stóp moich.

— Ej, Adelo...

— Kiedy tak, kiedy kaprysisz się i chcesz odwlec przyjście wiosny w swojem życiu — a! to ja biorę na siebie pana Euzebiusza i pana Stockiego. Chociaż to może stać się trajedją, bo pan Stocki gotów, gotów głowę stracić i serce własne przekląć, bo u takich ludzi każdy żart angażuje zaraz i całą duszę i całą istotę i Bóg to wie jakie jeszcze duchowe władze.

— A gdyby ta próba mnie pogrążyła w rozpaczy? — zapytała młoda Łucja.

— Czy tak? więc już odzywa się serce? A mówiłam strzeż serduszka!

— Nie mówię, że tak, ale któż odgadnie przyszłość.

— Siostrzyczko, pamiętaj, że należy być panią siebie, ażeby umieć zdobyć panowanie nad innymi, ażeby dla kogoś być królową.

— Czy serca? — dodała żartobliwie Łucja.

— Wyprzedzasz moje myśli, wybornie! Możemy do tygodnia panowanie nasze ustalić. Ale uprzedzam cię, że ja w państwie mojem nie ścierpię rządów republikańskich, lennicy muszą się poddać woli swoich monarchiń. Kogo wybierasz z dwóch, czy uczonego, na co wygląda za sztywny trochę pan Stocki, czy...

I z namysłem zatrzymala się w tem miejscu baronowa utopiwszy wzrok badawczy w twarzy hrabianki. W istocie, że na delikatnej cerze wiosną tchnącej twarzy Łucji wystąpił rumieniec bladoróżowy. Baronowa klasnęła lekko w dłonie i powtórzyła, niemiłosierna, nazwisko:

— Pan Euzebiusz Korecki! i to uważam nie żartem.

Dotknięta, rzecby można podchwycona nagle hrabianka szukała sposobu odemszczenia się, lecz pocisk był chybiony, kiedy w te słowa się odezwała:

— Może także pan Stocki dla kogo...

— A! jakież porównanie? Ten pan stanąć wprawdzie może w rzędzie z panem Euzebiuszem, ale tylko na chwilę, i niech się nie ośmieli mieć pretensji. Pan Korecki zaś, dla czegoż, o tym pomyśleć możemy nawet na serjo.

— Pomyśleć możemy? wyrzekła z intonacją Łucja — byłoby nad miarę szczęścia dla pana Koreckiego. Słyszałam, że i szczęście za wielkie bywa nie do zniesienia.

— Brawo, brawo! moja Łuciu! Co tu ironii a jak zręcznie przysłonięta. Za tyle precyzji zostawiam ci pana Euzebiusza wyłącznie.

I zbliżywszy się do hrabianki, ujęła jej głowę i pocałowała w czoło.

— Dziecko, nie gniewaj się — rzekła łagodnie i zaczęła pieścić się włosami siostry. — Bo nakoniec nie wiesz, że pana Euzebiusza znam dawno, i że on prawie młodszy odemnie, bo w równym wieku ze mną, ale... Otóż ty już wiesz może co za ale, że jestem wdową, zresztą kobietą, która zawsze wcześniej doświadcza niż mężczyzna. — A zatem zgoda i bądźmy gotowe do boju.

Zmierzchało już kiedy kończył się ten epilog, rozpoczętej o południu komedji, bo tak nawet nazwała to pani baronowa Adela.

Tegoż dnia wieczorem, i to dopiero dosyć późno zdołał się wyrwać Urban do domu, bo zatrzymywał go Euzebiusz, chcąc wybadać jakie wrażenie wyniósł z domu hrabiego.

Urban zdawał chętnie sprawę ze wszystkiego, tylko nic nie wspomniał, że jasne oczy pani baronowej prześladowały go nawet jeszcze we trzy i cztery godziny po widzeniu ich w domu hrabiego. Tak był zresztą roztargniony a poniekąd zamyślony, jak mianowicie podzielić ma czas pomiędzy dwa obowiązki, że wyrwawszy się od Euzebiusza, biegł jakby w najpilniejszym interesie do domu.

IV.

Kiedy Urban oddalił się z domu z Koreckim i nie powracał nawet na obiad a już dochodziła godzina trzecia, pani Stocka zaczęła narzekać, że syn jej pomimo, iż już liczy lat trzydzieści i coś jeszcze, a ani daj Boże się ustatkować.

Nadszedł na to właśnie drugi jej syn, młodszy, Stanisław, z którego niegdyś nie była zadowoloną staruszka, teraz jednak stawał się jej ulubieńcem. A było za co kochać Stanisława według mniemania matki, bo był daleko stateczniejszym niż brat jego, starszy o jakie dziewięć lat.

Młodzieniec ten poszedł wprawdzie za radą brata i wystąpiwszy z gimnazjum, wykierował się na dosyć zdolnego buchhaltera, ale niestety zawiódł z drugiej strony nadzieje Urbana, albowiem wypędził z duszy młodzieńczej posłuch dla wszystkiego, co nie brzęczało złotem.

I otóż nadszedł w chwili, kiedy matka w najwyższem byla oburzeniu na postępowanie Urbana.

— Co to proszę mamy? — były pierwsze słowa ukochanego Stasieńka — pewnie mama zmartwienie ma nowe z tym dziwakiem Urbanem.

— A jakże, bo proszę cię, nie pilnuje kancelarji z czego chleb je, ale z jakimś tam fircykiem ugania po Lwowie.

— Gotowi go jeszcze napędzić z urzędu, zauważał Staś zgorszony. No, widzi mama i on mnie chce uczyć rozumu.

— Już ja to widzę, że ty prędzej przyjdziesz do czego niż ten uczony, co każdemu by chciał dogodzić a samby i chleb posny zajadał i wodą popijał.

— Trzeba mamie wiedzieć, że ja już nawet przyszedłem; ledwom zdał egzamin, już mam i miejsce u jednego kupca i będę miał pięćdziesiąt, wie mama, pięćdziesiąt guldenów na miesiąc, i to tylko na początek, Potem więcej.

— A! mój synu, niech cię Bóg błogosławi i niech ci ułatwia twoje zamysły.

— Ej, co tam Bóg ma do czynienia z mojemi zamysłami, ja je sam potrafię wykonać. Praktyczność, to grunt.

— O nie, tylko tego jednego nie mogę ci pochwalić.

— Ale bo niech się mama nie irytuje, bo cóż w tem złego? Podług tej boskiej nauki kierował mną kiedyś Urban, i cóż on mi mądrego mówił?— Dawniej, kiedy jeszcze, można powiedzieć była bieda u nas, to nie pamięta mama, gdy czasem byłem głodny, że byłbym zjadł bodaj kawał chleba, to on chodził i śmiał się, i złościł mię i drażnił, choć i on był głodny, ale to warjat. I cóż, bywało, jakby mu się najlepiej powodziło, chodził po pokoju i powtarzał: nie troszczcie się co będziecie jedli i pili, i znowu zaczynał wyśmiewać mię, żem nie wytrwały. Albo radził, zajmij się czem, zamyśl, to zapomnisz o wszystkiem złem. I wpychał mi w rękę Homera albo innego poetę, żebym nasycił się pokarmem duchowym: Co mi tam Homer!— Dobrze że już od pana brata nic więcej nie potrzebuję. Tak, powiem mu to dzisiaj, jestem już panem mojej kieszeni; niech sobie chową, jeżli potrafi tę nędzną kwotę, którą mię niegdyś wielkodusznie wspierał.

— Już to tak znowu nie mów, przerwała matka, bo co ci dawał, to z dobrego serca, i kto wie czy bez jego pomocy przyszedł byś do czego?

— Ja też mu podziękuję za to, ale nic sobie powiedzieć nie pozwolę. Bo zresztą sama mama widzi, że Urban nie postępuje tak, jakby powinien. Toż to w jego wieku oddawać się jeszcze jakimś marzeniom, to śmiechu doprawdy warte. A mama nawet nie wie, jak on mię tem prześladuje, że ja nie lubię naprzykład czytać. Czy nie naczytałem się dosyć w szkołach, czy nie mam po uszy tych Homerów, Ksenofontów, Horacych i Bóg wie jeszcze jakich nudziarzów, którzy zresztą bardzo rozumni i poetyczni, ale czy jabym na nich dużo zarobił, gdybym tak wierzył jak mój brat....

— Oj, to to prawda, moje dziecko, założył temi księgami pół pokoju.

— Pewnie, bo on jak pół warjat, nie wolał był kupić za to jakich papierów, któreby procent przyniosły, albo choć mamie dla domu sprawić łyżki srebrne?

— A prawda... potakiwała staruszka.

— Otóż widzi mama, że mam słuszność.

— Masz Stasiu, masz. A pomyśl sam, czy nie powinien by także w tym wieku pomyśleć, aby się dobrze ożenić?

— A coby on z pieniądzmi robił — zauważył Staś z uśmiechem i dodał: Oto mnie żeby się trafiła jaka partja a bogata, zaraz bym się ożenił.

Matka zamyśliła się, jakby tu pomódz ukochanemu dziecku, aby mu się partja bogata trafiła, a Staś uśmiechał się ciągle, zapewne układając w duchu, jakby znowu umieć się przypodobać tej przyszłej partji.

Nareszcie pani Stocka potarła ręką po czole, jakby jej dobra myśl przyszła i z uśmiechem powiedziała:

— Wiesz ty, że ja myślę, że wartoby, abyś się zaznajomił tu w domu państwa Kopytkowskich. Jest tam panna i posażna, a jak słyszałam coś od Urbana, nie chce i patrzeć na rzemieślnika, no a Urban tam pewnie nie zawraca jej głowy, bo coś także wspomniał, że bardzo to praktyczna panna, że niema w niej tego tam, ej, jakże on to mówił...

— Poezji! zawołał Staś — ha, ha, jemu zawsze o poetyczność a nie o praktyczność chodzi.

— Otóż tam gdybyś spróbował, co?

— Zobaczymy, odparł z powagą młodzieniec. Podobać się potrafię. Gdyby lubiła marzenia i uniesienia, no, tobym jej wypisywał wiersze z jakich poetów i trele miłośne; ale kiedy nie lubi tego, to tem lepiej, to będę jej mówił o akcjach, o giełdzie, o teatrze i aktorach, o oficerach, tylko nie o poezji. Ale powiem mamie także, że ja mam już napięte w innem miejscu. Otóż trzeba mi wybadać gdzie dadzą więcej, bo dziś bez pieniędzy niema co robić na świecie.

Rozmowa podobnej treści przeciągnęła się między matką i synem aż do wieczora. Zamysłów tak praktycznego postępowania wątek przerwał Urban, który nakoniec powrócił po wizycie od hrabiego i po pogadance z Euzebiuszem.

Roztargniony, a po części usposobiony raczej do pogrążenia się w własnych myślach, nie bardzo rad był Urban zastawszy brata. Najmniej jednak spodziewał się, że będzie oblany jakby zimną wodą projektami brata, niezmiernie poziomo myślącego.

Puściwszy mimo uszu wymówki matki, że czekała nań daremnie z obiadem, wyszedł do swego pokoju, lecz tuż za nim pospieszył Stanisław.

— Przyszedłem ci podziękować — zaczął Staś — i powiedzieć nowinę, jakiej nie spodziewałeś się. Na przyszły miesiąc nie odkładaj już nic dla mnie, już ci dziękuję za pomoc. Ledwom zdał egzamin i zaczął praktykę, już dostałem miejsce i mam pięćdziesiąt guldenów na miesiąc.

— To chwała Bogu — odparł Urban, że możesz egzystować o własnych siłach.

— Ba, ale ja myślę się ożenić.

— To za prędko, za wcześnie.

— Za prędko, za wcześnie — powtórzył młodzieniec złośliwie. Gdybym ja tylko myślał o niebieskich migdałach i chciał się żenić z panną bez pieniędzy, to co innego, ale ja nie warjat, znajdę, a może nawet znalazłem partją z posagiem.

— Stanisławie! zawołał na poły z wyrzutem a na poły groźnie Urban.

— Ja wiem, wiem, że ciebie to irytuje.

— Nie irytuje, ale powiedz raczej że oburza do najwyższego stopnia.

— I czemu, cóż to, czy ja dziecko?

— Tem gorzej, rzekł Urban porywając się z fotela, tem gorzej, do kroćset djabłów, że zatracasz duszę! Nie troszczysz się o to, czy znajdziesz szlachetne serce, podniosłą duszę, ale idzie ci o zagarnięcie nędznych kilku może tysięcy guldenów. To szkaradne, obrzydliwe w człowieku tak młodym. I z takim cynizmem to mówisz.

— Przepraszam cię, mówię jak człowiek rozumny.

— A! niech was piorun z takim rozumem! zawołał Urban nie hamując wcale uniesienia. To młodzież dzisiejsza... Ale co mówię młodzież, nie sądzę, abyś miał wielu podobnych sobie kolegów.

— E, mój kochany, myśmy młodzi dziś rozumniejsi od was mężów szukających tej tam twojej podniosłości umysłu przy pustej kieszeni. Otóż powiem ci, że właśnie moi koledzy, to bardzo praktyczni ludzie, choć młodzi, i pewnie tak biedować nie będą, jak ja niegdyś, nimem porzucił przesądy, nimem się wyrwał z rąk twoich, co zamiast rosołu i mięsa dać mi na obiad, kazałeś mi się uczyć Ody do młodości.

— Więc rzecz skończona — rzekł Urban ukrywając oburzenie. Jesteś panem swej woli, bo masz kieszeń własną, z której żyć będziesz. Ale praktyczność mój braciszku nie od tego zawisła, aby negować to wszystko, za co ludy przez wieki walczyły, aby osiągnąć. Z takiemi wyobrażeniami, wiesz dokąd zajdziesz? Nie przeczę, że możesz zrobić majątek, ale też nic więcej; nie spodziewaj się niczego od ludzkości ani od ludzi, których wszystkie świętości tak bezczelnie nogami już zdeptałeś w myśli a wkrótce potwierdzisz czynem brudnym, coś zaczął w poziomej myśli.

— Dziękuję za nauczkę, ale lepiej pomóż mi czynnie, kiedyś tak wielkoduszny — rzekł Staś z cynizmem. Wprowadź mię do państwa Kopytkowskich i zapoznaj, bo może ta panna więcej dostanie, jak tam, gdzie już zrobiłem znajomość.

Urban spojrzał z pogardą na brata, a we wzroku tym widoczne musiało być potępienie, bo pan Stanisław spuścił oczy i rzekł po chwili:

— Nie chcesz, dobrze, obejdzie się, to ja i sam znajdę drogę.

— Szukaj sobie, bo to dla mnie drogi obce i za ciasne.

Stanisław uśmiechnął się znowu szyderczo i jeszcze raz próbował pozornie przynajmniej usprawiedliwić się przed bratem.

— To przynajmniej może poznać zechcesz dom, w którym mam już znajomość, a gdzie gdybym się ożenił, zawsze by chciano poznać moją familią.

— Będzie jeszcze czas na to — odparł Urban.

— No to dobranoc ci. —

— Dobranoc!

Tak rozeszli się bracia, stojący każdy chociaż rodzeni na krańcach, które dzieliła przepaść wyobrażeń i zasad, rzecby można nie do przebycia.

— I niechże się kto znajdzie — rzekł Urban z westchnieniem, coby wyrwał takiego młodzieńca z więzów materjalizmu grubego, coby zeń zrobił obywatela w przyszłości. I to pokolenie, co ma kiedyś zająć miejsce w gronie ludzkości! Ha, kotły z mięsem stawcie tym ludziom przed oczy, tego jąć się nie omieszkają, ale na zadania obywatelskie uszy mają zatkane.

(C. d. n.)

PRZECHADZKA KRÓLA SALOMONA.

(Legenda z Talmudu).

1.

Dla czego król Salomo wychodzi o zmroku
Sam z pałacu swojego, nie mając u boku
Ani straży orężnej, której każe chodzić
Przy sobie, ani niewiast, co zwykł z sobą wodzić?
Dla czego pieszo idzie, gdy niejeden drzemie
Wóz skrzydlaty w wozowni, i niejeden ziemię
Koń kopytem roztrąca, niecierpliwy znaku,
By mógł piersią rospierać wiatr na gładkim szlaku?

2.

Król sam idzie i pieszo: nie chce towarzyszy
Nasz Salomo, spragniony spokoju i ciszy.
Pieszczone już mu niewiast sprzykrzyły się głosy,
I dworaków, co wznoszą króla pod niebiosy.
Król sam idzie i pieszo: rozmowy tajemne
Ptaków, zwierząt i krzewów dziś mu są przyjemne;
Król rozumie te głosy; z mądrości zwątlonej
Pozostał mu ten jeszcze dar nieoceniony.

3.

I oto idącego z pochyloną głową
Żóraw spostrzegł nad drogą i surowe słowo
Rzekł dzieciom, co na polu przy nim spoczywały.
— Patrzcie, oto Salomo idzie, pełen chwały
Król; przed jego obliczem drży cała kraina:
Spojrzy tylko i wszystko do nóg mu się zgina,
Przemówi — z ust mu słowo wypada rozkazem;
Złotem włada, mądrością włada i żelazem.

4.

A jednak, patrzcie dzieci, (niech wam stąd nauka
Rośnie), ta władza króla możnego oszuka.
Cóż że w mądrości swojej zagadki odgadnie
Najtajniejsze, gdy dzieci nie chowa przykładnie,
I gdy świat cały czoła przed królem ugina,
Król należnej czci tylko nie znajdzie u syna?
Cóż że złota ma pełne skrzynie, gdy to złoto
Synowie na rospustę i zbytki rozmiotą? —

5.

Te słowa usłyszawszy, król bardzo zmartwiony
Szedł dalej, gdy doleciał go szept z innej strony.
Nade drogą na kępie cicha, lecz wyniosła,
W niebo kielich podnosząc biała lilja rosła.
Ta schylając się nieco do krzewiny innej
Rzekła: Patrzaj, Salomo, na cały świat słynny
Król nad króle tu idzie: nie tak twarz lśni zdrowiem
Jak złotem odzież: patrzaj i słuchaj, co powiem.

6.

Ten król kocha się w strojach. Wiele na to czasu
Potrzebuje, by suknie przyoblec z atlasu,
Z których perły się sączą, na których wzorzyście
Dzierżgane złotem kwiaty lśnią, jedwabiem liście.
Olejkiem się namaszcza najdroższym, a głowę
W djadem chowa, skąd płoną ognie rubinowe;
Lecz choć tak ustrojony w purpurze i złocie
Cóż z tego? patrz, piękniejsza jestem w mej prostocie.

7.

Król to słyszał i prawdę uznał w głębi ducha,
I szedł dalej. Szept znowu przypadł mu do ucha.
Dwoje gołębi na noc do krzaków zleciało:
Do gołębia gołąbka rzekła: Co się stało,
Że król idzie samotnie o tak późnej porze,
Kiedy już wszystko senne chyli się na łoże?
Czy nie ma towarzyszki, którąby posadzić
Mógł przy sobie, o domu i o dzieciach radzić?

8.

Gołąb jej odpowiedział: Żal mi Salomona!
Sto najpiękniejszych niewiast otwiera ramiona
Na jeden znak królewski: w milczeniu głębokiem
Śledzą za ruchem jego, uśmiechem i wzrokiem.
Każe tańczyć, więc tańczą, śmiać się, więc się śmieją,
Tysiąc mu ust słodycze przynosi koleją.
Lecz żal mi Salomona! Nie zna on roskoszy,
Której wiek nie odbiera i przesyt nie płoszy.

9.

Radości tej on nie zna, jaka nas zagrzewa,
Gdy się na noc do gniazdka schronimy pod drzewa,
I cieszymy się sobą, i dzienne przygody
Opowiadamy, pełni ufności i zgody,
A gdy dziatwa podrasta, uczymy ją latać,
I czysto piórka trzymać i gniazdko wymiatać,
I o więcej nie dbamy. Lecz nie tak korona
Królom szepce do ucha. Żal mi Salomona!

10.

Król to słyszał i serce żalem mu wezbrało,
I rzekł: Marność jest wszystko: odziałem się chwałą,
I potęgą, a oto żebrak smutny stoję.
Wezwałem mądrość — weszła przez wielkie podwoje,
Siadła przy mnie — a oto mędrsza jest ptaszyna,
Niż król mądry. Więc tańców wołałem i wina.
I ognia ust dziewczęcych, i zapachów łona...
Wszystkom miał — roskosz idzie posłuszna i kona.

11.

Marność wszystko: kto pragnie, daremnie się zwodzi.
Szczęśliwy, kto się na świat nigdy nie narodzi,
Lub jeśli się narodził, który w sercu zgarnie
Pragnienia, wszystkie razem zawrze w małem ziarnie,
I ziarno rzuci w rolę. Z ziarna kłos wyrośnie...
Lecz i to marność — umrze siewca, nim się wiośnie
Otworzą jasne oczy. Niechże się raduje
Cudzym zyskiem — szczęśliwym go wtedy mianuję.

12.

Tak mówił smętny król do siebie. A już padły
Zmierzchy gęste i mgły się na łąkach pokładły.
Nietoperze nad głową przemykały rade,
A gady z traw na nocną dążyły biesiadę.
Król powracał do zamku, — światło i muzyka
Wzywają go do siebie, — lecz to wszystko znika
Na jeden znak królewski. Wśród głuchej cichości
Król zasiada i pisze księgę o marności.

Józef Tretiak.

BALLADYNA

TRAGEDJA SŁOWACKIEGO.

STUDIUM.

Po takich uwagach wstępnych, przejdźmy teraz do samej treści. Balladyna, jakeśmy to widzieli wyżej, jest utworem tak pięknym, że objęta pierwszym rzutem oka tylko, zupełnie już nas zaspokaja, sprawiając nam niepospolite, dziwnie jakoś fantazyjnie-smętne estetyczne zadowolenie; lecz nie obawiajmy się przecie, by uchylenie zasłony tajemniczości co ją pokrywa wyzywająco, miało nas pozbawić pierwszego wrażenia czarującego uroku onej. Owszem, im bardziej wpatrywać się zechcemy, tem więcej stopniowo będziemy odkrywać zawartego w niej piękna; a piękno to dopiero wtedy tylko istotnie w całej onego pełni pojmiemy, gdy już rozkryjem zupełnie myśl utworu zasadniczą. Rzućmy też okiem bardziej badawczo, tak jednak, by nam poeta nie wyrzucał braku uwagi attyckiej — dajmy mu się zwrócić „na niebo oczyma!“ krótko mówiąc, przejdźmy do historjozoficznego rozbioru tragedji, pewni, że skarby na tej drodze zdobyte, sowicie nam wynagrodzą nasze niewzględne zapuszczenie się w nieartystyczną utworu piękna analizę. Prawdziwe piękno nie boi się próby!

Trzeba nam wiedzieć, że wieszcz nasz postawił był sobie za zadanie wskrzesić do życia w świecie poezji całą naszą historyczną przeszłość, objąć i oddać we wpółposągowych, w półfantastycznych rysach cały wezbrany prąd dziejów naszego narodowego życia. Wspaniały ten obraz, chociaż kreślony dorywczo, nierównie i zbyt fan-

tazyjnie nieraz, chociaż właściwie niewykończony odpowiednio, tworzy jednak pewną całość, jeden wielki w rodzaju Ariosta poemat niejako, którego każda część pojedyncza jest odrębnym w sobie dramatem, tragedją — kroniką dramatyczną, jak je sam autor nazywa. Rozpoczyna całe wiązanie poematu jako wstępny „epizod“ onego — Balladyna. Stanowi ona razem z Lillą Wenedą szeroką podstawę owej przepysznej, lekkiej a posępnej budowy; a jest niejako pierwszą mistyczną postacią, co symbolicznie zawiera w sobie całą zagadkę naszej przeszłości, tajemnicze słowo onej, będąc jakoby ogniskiem akcji całego poematu. Rozkryjmyż nakoniec ten symbolizm.

Po tem wszystkiem cośmy tu dotąd powiedzieli, gdy nie mamy przyczyny powątpiewania, że treść Balladyny jest i historyczną i narodową, nie wiele już trzeba, by treść tę ogólnikowo określić. Epizodem oderwanym z dziejów przeszłości narodowej być ona nie może; epizod bowiem byłby nieskończenie wydatniejszym, bardziej dotykalnym, koniecznie mniej anachronicznym. W treści więc tej może się wypowiadać albo pewna strona, pewien promień życia naszego narodu w ogóle, lub też samo to życie w całości onego — w pewien samoistny sposób ujęte.. Jedna chwilka głębszego zastanowienia przechyla nas ku ostatniemu widzeniu rzeczy. Samo następne rozwinięcie przedmiotu przekona nas, iż Krasiński wcale niedostatecznie określa Balladynę, rozumiejąc iż ma ona zawierać w sobie ducha czasów bajecznych; widząc w niej uzmysłowienie tylko tej prawdy, iż wszędzie śmierć zlewa się z życiem, przeszłość z przyszłością! Tłómaczymy go tem jedynie, że mamy przed sobą właściwie lekkie tylko w liście potrącenie przedmiotu.

Tak przygotowani przystąpmy śmielej do szczegółowego już rozbioru treści. Myśmy oswojeni w naszej literaturze z upostaciowywaniem życiowych idei i onych gry żywej w zwykłych czynnikach akcji dramatycznej; nie zdziwi to więc nikogo, jeśli tu po za postaciami tragedji poczniemy pytać o usobiony w nie świat idei, jeśli po przez te fantastyczne wzorowanie tworzącego się w oczach naszych narodowego mytu, że tak powiem, będziemy się przedzierać ku ujęciu promienia teozofii mytu owego.

W rozbiorze tu naszym, przytrzymując się ile można danego układu dramatu, większą jednak musimy zwracać uwagę na szyk logiczny rozwoju i wzajemnego wiązania się samych idei, tem bardziej, gdy oczywiście warunki dramatyzmu i bujność fantastyczności inne wcale ugrupowanie autorowi roztoczyć nakazywały. Sam on wreszcie, mówiąc o anachronizmach, rozwadze i historji, w owym liście do Krasińskiego, poniekąd nas o tem uprzedza. Snuć jednak porządną historyczną tkaninę z estetycznej poety przędzy nie tak łatwo: niech nas więc za to, samo piękno tak zdobnej tkanki w postępowem snuciu onej podtrzymuje, orzeźwia i rozkoszą nagradza.

Nim przed naszemi oczyma uderzy piorun w ukoronowane, o przepasce czarnej, czoło Balladyny i rozjaśni nam straszną, smutną życia królowej zagadkę, roztworzy mgłę dziejów przeszłości — zacznijmy od zapoznania się wstępnego z czynnikami tu historycznego życia w ogóle. Szranki tu nasze — ów wspaniały, zieleniejący się las nad Gopłem, to cała Rzeczpospolita w jej przeszłym, doskonałym bycie. Pierwsze trzy postacie jakie spotykamy u wejścia: Pustelnik, Kirkor i Filon, w abstrakcyjnem, idealnem onych znaczeniu, przedstawiają naprzód trzy główne duchowe pierwiastki życia wewnętrznego narodu: w Pustelniku widzimy rozumu powagę, w Kirkorze moc czynną, w Filonie zaś, przeciwieństwo onej, pierwiastek fantazyjnie bierny. Postacie te jednak mają nadto i przeważniej znaczenie ściśle historyczne, jakie z kolei później poznamy. Czarująca postać nimfy Goplany równie w podwójnem znaczeniu się nam przedstawia: raz jako urocza siła wiecznie żywej, wiosennie odradzającej się przyrody kraju naszego, biorącej udział w bycie społeczeństwa — siła życia samego; powtóre, co ważniejsze jako idea, potęga, żywioł swobody ludu i narodu całego, aureola mocy onego niepodległej — geniusz narodu opiekuńczy. Uboga Wdowa, matka dwóch córek — to naprzód naród w onego pierwotnym, prostaczym, patrjarchalnym bycie — naród słowiański, polski; a w ostatecznym wyrazie, naród w powszechnem dziejowem znaczeniu, Ojczyzna nasza sama. Z dwóch jej córek — starsza Balladyna uosabia w pierwszej chwili, wydzielający się wcześnie z patrjarchalnego łona narodu pierwiastek bardziej rzutki, możniejszy; młodsza zaś Alina lud wyjątkowie wyobraża, massy narodu.

Zawiązek dziejowy z historjozoficzną ścisłością faktycznego prawdopodobieństwa podany. U kolebki przeczuwać daje się swobodny, prostaczy byt na łonie rozkosznej, bogatej przyrody — pod uroczą Goplany i jej sylfów opieką. Lecz już w tem mrocznem jeszcze zaraniu dziejów społeczeństwa, dostrzegać się daje walka dwóch władz zwierzchniczych, dwóch pierwotnie przewodnich idei — patrjarchalnego, ojcowskiego, prawowitego, z bożej łaski monarchizmu, z autokracją przywłaszczycielskiej przemocy siły wśród panującego narodowi rodu — walka co się przeciąga w zasadach w dal dziejów. Oto w Pustelniku poznajemy Popiela III., którego brat z tronu wygnał, zamordowawszy mu troje dzieci; wygnaniec jednak unosi koronę prawowitości.

Ślicznie — historycznie wiernie, a z całem złudzeniem legendarności mistycznej naiwnego ludowego opowiadania, kreśli nam poeta pochodzenie korony polskiej; wskazuje na podaniowe, legitymistyczne źródło samej królewskości pod tchnieniem chrześciaństwa i cesarstwa; a pod koniec w cudnego piękna obrazku przyzywa na pamięć i mitycznie upostaciowuje znany stosunek szczególnej przychylności kościoła — Rzymu, katolicyzmu ku koronie naszej, i ową moc idei Zbawcy w dziejach Polski:

„Ku ojczystej stronie
Wracali niegdyś od Betleem żłobu, — (Rzym.)
Święci królowie — dwóch Magów i Scyta, — (Otto.)
Ów król północy zaszedł w nasze żyta,
Zabłądził w zbożu jak w lesie — bo zboże
Rosło wysoko jak las w kraju Lecha. — (Boles.)
Więc zabłądziwszy rzekł — „wyprowadź Boże!"
Aż oto przed nim odkrywa się strzecha
Królewskiej chaty — bo Lech mieszkał w chacie —
Wszedł do niej Scyta i rzekł: „Królu! bracie!
Idę z Betleem, a gwiazda błękitna
Twoich bławatków ciągle szła przedemną,
Aż tu zawiodła!" Lech rzekł: „zostań ze mną,
Kraina moja szczęśliwa i bitna,
Jeźli chcesz to się tą ziemicą z tobą
Dzielę na poły." Scyta rzekł: „zostanę,
Lecz kraju nie chcę, bo ziemie złamane,
Rozgraniczają się krwią i żałobą
Dzieci i matek." Więc razem zostali,
Ale to długa powieść — (Stosunek z ideą Cezaryzmu.)
Więc jako dawniej czynili mocarze,
Z Lechem się mieniał Scyta na obrączki
A pokochawszy mocniej sercem, w darze
Dał mu koronę — ztąd nasza korona." —

Czyż to nie żywe opowiadanie historji? lecz posłuchajmy dalej:

„Zbawiciel niegdyś wyciągając rączki,
Szedł do niej z matki zadumanej łona;
I ku rubinom podawał się cały, — (rubinom krwi na-)
Jako różyczka z liści wychylona, [szej.)
I wołał „caca!" i na brylant biały, — (nieskalaność dzie-
Różanych ustek perełkami świecił." [jów.)

Niech mi też kto wskaże coś piękniejszego, szczytniejszego, bardziej prostego a nieznurtowanej głębi w naszej historyczno-obrazowej poezji, nad ten naiwny obrazek, który mocą uroku i prawdy prześcignie wszystko, coby poważny myśliciel mógł powiedzieć o względnym stosunku chrystjanizmu i dziejowego posłannictwa Polski! Nic ja piękniejszego u autora Przedświtu sobie nie przypominam, nic nie wiem o obrazowaniu innych mesjanistów!

Wracając do **Pustelnika** widzimy tedy, iż on wyobraża ideę królewskości, prawowitej władzy, w walce w pierwszej dobie z zamachem autokracji przemocy, coś niby w rodzaju Mieczysława III. naprzykład. Władzę otacza rycerstwo u kolebki dziejów, uosabia je tu Kirkor. Kirkor — to rycerstwo pierwszego zwrotu i typu, Bolesławowskie jakoby, przesiąknięte uczuciami barbarzyńskiej zachodnio-europejskiej szewalerji, obce nawet może z pochodzenia — co widoczniej autor przyjmuje w Lilli Wenedzie. Charakter jego widać w następującym zwrocie Kirkora do Chrystusa:

„O biedny kwiatku! na toż ty się kwiecił,
By cię na krzyżu ćwiekami przybito?
Czemuż nie było mnie tam na Golgocie,
Na czarnym koniu, z uzbrojoną świtą!
Zbawiłbym Zbawcę — lub wyrąbał krocie
Zbójców na zemstę umarłemu." —

To coś zupełnie w rodzaju znanego przy chrzcie uniesienia wodza Franków — Chlodowika! — Lecz to nie jest jeszcze całkowite określenie Kirkora: przedstawia on dalej nadto, nie tylko najszczytniejszą rycerskość w ogóle z onej wzniosłemi ideałami, ale i pewną siłę, pewną moc narodu nieskazitelną, zachowawczą a twórczą — upostaciowanie najbardziej poetycznie-czynnego pierwiastku w narodzie, ideę społeczną arystokracji w nieskalanym onej ideale, czemu odwrotną stroną służy Balladyna.

Walka dynastyczna w rodzie panującym wywołuje i podnosi do pierwszorzędnego znaczenia rycerstwo, te staje po stronie prawowitości. Kirkor postanawia przywrócić wygnanego Popiela na tron; lecz dla tem pewniejszego zwycięztwa zmuszone ono zwrócić się do ludu, do gmin patrjarchalnych słowiańskich. Wśród ich łona wybór przecie nie łatwy — w dziejach waży się nie mały czas pytanie — co będzie powołanem przeważniej do żywszej politycznej działalności: czy massy ludu w ogóle, w onego gromadowładnym ustroju, czy pierwiastek możniejszy, samoistnie już wydzielający się z pośród gmin. Kirkor długo się waży pomiędzy równie pięknemi siostrami — czarnobrewą i jasnowłosą! Wybór ten zostaje umożliwionym dopiero przez wewnętrzny przewrót, jaki pod wpływem prądu dziejowego u nas rozwoju wypadków w patrjarchalnej gmin posadzie zachodzi. Oto Balladyna zadaje cios śmiertelny Alinie — gmina pierwotna a dalej i lud cały zdeptany społecznie, zabity politycznie w dziejowym pochodzie! Kirkor żeni się z Balladyną i wynosi ją na panią zamku — rzutniejszy pierwiastek opolny podnosi się polityczną zbrodnią ku rycerstwu i poczyna odtąd stanowić możnowładztwo — arystokrację, szlachtę w wyższem znaczeniu. Dotychczasowa między Balladyną a Grabkiem ścisłość równie zerwana odtąd z kolei. Pierwotnie we mgle patrjarchalnego bytu ścisłość ta, solidarność, jedność nawet była rzeczywistą, nim Balladyna oddała rękę Kirkorowi, nim nie wstąpiła na zamek, wyróżnienie jakie z czasem nastąpiło pomiędzy dwoma odłamami jednego i tego samego w osnowie szlacheckiego stanu, nie istniało zupełnie. W biegu czasu dopiero odłam arystokratyczny wyosobnił się od demokratycznego — jaki tu właśnie wyobraża **Grabiec**, pierwowzór niby szaraczkowej szlachty.

Zasłużenie czy nie-zasłużenie, geniusz narodu przecie szlachtę ową robi swoim wybrańcem — Goplana Grabka wyłącznie otacza swą idealną miłością i przyczynia się do odsunięcia się odeń Balladyny. Grabiec przeto winien by być postacią niezmiernie żywą, ale poeta z dziwną jakąś lubością wzniesionego na wyżynę artystyczną cynizmu, oddał jedynie ujemną w nim życia stronę, a cały obraz okrył takim sarkazmem, taką ironią i prostaczą powszedniością, że co rys, co wyraz chciałoby się w imieniu prawdy dziejowej protestować, gdyby nie

pewność że to przecie jedno tylko lice obrazu. Tymczasem idąc za autorem, posłuchajmyż samego Grabka:

„A pytasz kto ja jestem? to historja długa.
W naszym kościółku stały ogromne organy — (Sejm)
Mój tata grał na dudach (pańskich); pięknie grywał pjany,
Ale kiedy na trzeźwo, okropnie rzępolił!
Do tego był balwierzem i wieś całą golił, (jako dzierżawca)
Golił i grał na dudach, bo golil w Sobotę,
Na dudach grał w Niedzielę; (na sejmikach.) a miał [taką cnotę,
Że nie pił kiedy golił, a pił kiedy grywał.
I wszystko szło jak z płatka. W tem kogut zaspiewał (ś. Piotra)
I mój ojciec małżeństwem z żoną się zespolił (jez. [katolicyzmem.)
Panna młoda (Societas J.) wąs miała, ojciec wąs ogolił,
I wszystko szło jak z płatka. Lecz tu nowe cuda!
Zona grala na dudach, a tatuś był duda —
Grała więc po tatusiu, i dopóty grała,
Aż go na smętarzyku wiejskim pogrzebała.
Ja zaś pośmiertne dzieło pana organisty,
Jestem jak mówią ojca wizerunek czysty,
Bo lubię stary miodek i kocham gorzonnę —
I uciekam od matki" — (libertynizmem.)

Oto wyraz powszedniej strony młodszej braci szlachty, oddany zgodnie z prawdą względną w całej swej cynicznej nagości; lecz nie gorszmy się goryczą — promienna Goplana — owo spotęgowanie do ideału świątłej strony Grabka — osłania wciąż swego kochanka!

Mamy już więc przed sobą uosobienie wszystkich niemal główniejszych czynników naszego społecznego w przeszłości bytu; śledźmyż dalej za ich wzajemnie uwarunkowywującą się działalnością w postępowym rozwoju dziejów.

Najbardziej stanowczym, najdonośniejszym co do znaczenia społecznego, najobfitszym w następstwa wypadkiem historycznym było to zabójstwo Aliny — zabójstwo społeczne ludu wieśniaczego, ujarzmienie gminy swobodnej. Odbyło się ono w oczach samego Grabka; lecz pomijając, iż był on pierwej Balladyną zajętym, stał teraz biernie, nieruchomie jako zaklęty przez Goplanę w płaczącą bezmyślną wierzbę. Przy śmiertelnem więc Aliny ugodzeniu, na jeden zaledwie wykrzyk „Jezus Marja!" się zdobył, odpowiadając wnet następnie Filonowi „nie trącaj, bom pijany!" A dalej, na inne zapytanie, gdzie był w czasie dokonywania się przeważnych wypadków? najspokojniej znów odparł: „rosłem;" na co też mu słusznie zewsząd odbrzmiało: „Grabiec był osłem!" Zabójstwo społeczne ludu istotnie dokonanem zostało za niemem przyzwoleniem drobnej szlachty; przemoc wywarta zaledwie uczucie onej religijne dotknęła, a bierność podobna jeśli nie przyświadczała niedojrzałości politycznej, była wielkiego błędu szlachty dowodem! Mimo to trudno się powstrzymać od uczucia pewnej przykrości na widok, jaki nam przedstawia samowolny fantastycznie, choć co do artyzmu potężny w sobie, obraz roztaczający się w początku IIgo aktu: — norma to niby bytu szlachty, od Boruty po błotach łęczyckich wodzonej, po pijanemu możnowładne dęby wspierającej! Żywiej daleko dotknął los Aliny Pustelnika, lecz władza królewska nie miała w swem ręku środków do ratowania ludu.

Jak-że uświęciła, uczciła jak, rozrzewniającą a pełną grozy śmierć niewinnej Aliny narodowa poezja? Filon, który ją właśnie tu wyobraża, oddany dotąd zdobnym w szaty greckiego mytu a czczym dla życia rzeczywistego ideałom kllassycyzmu, wprawdzie na widok cudnej postaci zamordowanej dziewczyny zapala się ku niej platonicznem fantasty uczuciem, ale uczucie to bezsilne, rozpraszające się w uwielbienie cienia, w marzące smętne rozrzewnienie, a niezdolne nawet obudzić myśli, cóż dopiero żywych pragnień wskrzeszenia ukochanej! Przykra to a niezaprzeczona w ogóle prawda, iż poezja nasza narodowa długie wieki strzęgnąc w klasycznej rutynie, chociaż po zwróceniu się na tor romantyzmu, i bliżej dotknęła ludu, traktowała go długo jedynie jako oryginalny, idylliczny, historyczno-oderwany lub sentymentalno-senny estetyczny temat, nie zaś jako żywioł wołający o prawa do życia! Nie kto inny a Filon jednak ułomał z Grabkowej wierzby gałęź, z której zrobione berło, użyte przez psotnego Chochlika jako dudka, pieśnią o siostrze tyle później przeraża Balladynę. Sumienie narodu ideałem swobody wykarmione, geniusz onego opiekuńczy, przejęty przecie najżywszem współczuciem dla doli ludu: Goplana mimo to, iż zajęta wyjątkowiej Grabkiem, jednak jako cień zabitej siostry, jako wyrzut sumienia, przemawia do Balladyny o zbrodni i ciska jej przekleństwem!

W dziejowym pochodzie społecznego naszego rozwoju, wyniesiony z łona ludu pierwiastek pański, możnowładczy, nie długo przebywa w jedni z zastępem regalizmu; wzmocniony onego niegdyś opieką, poczuwszy się nieco na siłach, zwraca się następnie przeciwko niemu i zastępowanej przezeń królewskości; w śmiertelnej zaś obawie, by w potrzebie nie zechciano podnieść zdeptanych gmin, przybiera zwrot republikański. Balladyna drży na myśl, iż Kirkor Alinę odszuka; wcześnie tedy wyrzekając się własnej matki, ogląda się za obcą przyjaźnią jaką znajduje w Kostrynie. Kostryn wyobraża tu nie tylko żywioł niemiecki w ogóle, obcy, samolubny, złowrogi Polsce cywilizacją obcą, grozę Krzyżactwa; ale zarazem i pierwiastek miejski w kraju, wśród którego germanizm taką grał rolę. Sojusz Balladyny z tak tylko podwójnie pojętym Kostrynem jest zrozumiałym; inaczej słusznie byłoby w nim widzieć historyczną przesadę. Balladyna jednak radaby pozbyć się krwawej na czole plamy — bada pustelnika; lecz widząc, iż to obudzeniem siostry tylko da się okupić, woli ją nosić „aż do Boga sądu" i fatalizmem pchana rzuca się w objęcia dalszych następstw zbrodni! Arystokrację fatalizm jakiś prowadzi po drodze przemocy!

Tymczasem wśród legitymistycznych zapasów o prawowitość władzy, korona Popiela — symbol zwierzchniczego przewodnictwa narodowi, skutkiem szczególniejszego wyboru Goplany, spada na skroń jej ulubieńca Grabka. Młodsza bracia, rycerstwo, staje na czele Rzeczypospolitej — choć nie tak przypadkowie jak z obrazu wieszcza wnosić by wypadało, a następstwem organicznego rozwoju naszych dziejów: „Sięgnęła ręka glowy, znalazła koronę.“ — W innej stronie mocą konieczności historycznej zbliża się stanowcza walka Balladyny z mężem — wyobrazicielem zarówno regalizmu, jak ideału arystokracji i jej etycznej prawomocności; a pierwszy cios wymierzony w osobie Gralona Kirkorowi, wiąże ją ostatecznie ściślej z Kostrynem.

Znikome, przemijające było panowanie massy stanu rycerskiego, a nadto panowanie nie o wiele mniej dotkliwe jak każde inne — jak to Grabiec o podatkach przemyśla i sejmiki jaskółcze, owe wieca opolne, rozpędzać każe! miało przecie ono na sobie charakter narodowy i przedstawiać mogło pewne widoki dla ludu. Grabiec na uczcie, jako król dzwonkowy, o berle z wierzby i jabłku winnem, lecz w prawdziwej Popiela koronie na skroni, wśród toastów szumnej biesiady, sadza przecie na chwilę przy sobie Wdowę, której się Balladyna haniebnie zapiera i wypędza z zamku; dla rozrywki każe grać na berle własnem pieśń o dwóch siostrach i dzbanku malin, i zapragnieniem jagod spowodowuje zjawienie się widma Aliny. Bo też istotnie na łonie rycerskiego stanu przeważniej było szczersze poczucie potrzeb Ojczyzny, była zdolność odwołania się do zabitego przez panów politycznie ludu, była moc powołania go do życia choć wszystko to jedynie inpotentia!

Lecz to już groźne i upokarzające dla Balladyny! Swe własne czoło chciała ona widzieć uwieńczonem koroną Lecha: nie było innego środka jak dopełnić nową zbrodnię — i Grabek z jej ręki zginął. Stan rycerski, młodsza bracia został unicestwionym rzeczywiście przez arystokrację, przez panów; ster wszechwładzy politycznej dostał się w ręce tych ostatnich. Była jednak chwila w dziejach, w której oniemal arystokracja razem z całym krajem nie stała się łupem podstępnie ją wspierającego germanizmu; była chwila gdzie Balladyna zadrżała przed ukrytą myślą Kostryna. Wygnana z zamku wdowa próżno szuka poparcia u pustelnika: wprędce po morderstwie Grabka, ginie w otwartej z Balladyną walce Kirkor, a jednocześnie i Popiel haniebnie zawisa. Monarchizm napróżno przemyśliwa nad niedolą kraju, po obaleniu znaczenia stanu rycerskiego, ginie on i sam ostatecznie w zapasach z arystokracją republikańską. Otrucie Kostryna przez Balladynę, którem się zamyka szereg jej zabójstw w tragedji, rzeczywiście należało by odnieść do głębszej przeszłości, pierwej bowiem i groza germanizmu znikła i pierwiastek miejski obezwładnionym został. Tak więc Balladyna drogą tylu zbrodni zostaje przed naszemi oczyma królową polską! Czy nie smutno nam! Czy nie oburza nas ta postać dotąd niezrozumiana; czy nie obraża takie postaciowanie dziejów? A przecież to szczera prawda! Lecz nie na tem koniec.

Po dokonanych zbrodniach następuje dzień sądu dziejowego! Arystokracja wzniosla się na rumowiskach ujarzmionego ludu i zlekceważonej ojczyzny; a stawszy się sama królową — wszechwladczynią narodu, za powodem dziejów wołających o sprawiedliwość i pomstę w imieniu prawdy, musi sama sobie podpisywać fatalnie wyrok potępienia! Balladyna-królowa zasiada na trybunale najwyższym i odsądza surowie sprawy. Występują oskarżyciele w sprawie Kostryna i Aliny — zdeptanych miast i unicestwionych mas wiejskich; wyrok królowej nieunikniony, złowrogo sprawiedliwy. Groźniejsze zjawienie się jej własnej matki, co sama tu staje, by krwawo obwinić wyrodną córkę! Ale cóż — gdy przychodzi jej wydać imie zbrodniarki, sama chętniej ginie na torturach.

„Jak ją kat położył
Na tortur kleszczach, to oczy zawarła;
A patrząc na nią ktoby się pobożył
Że to kościany Chrystus był bez ducha.
Każda kosteczka wywiędła i sucha,
Przez rozciągniętą skórę wyglądała,
Prosząc o litość —
— I nic nie wydała?
Umarła cicho. A na suchej twarzy
Dwa wykopała dołki śmierć kościana,
I w obu dołkach stoją łzy.“

W godzinie owej dziejowego sądu, Ojczyzna, Rzeczpospolita potępia żywot szlachty-arystokracji, ale na pomstę jej nie wydaje — (Kościuszko, Kołłątaj) i ginie sama na torturach trzech podziałów .... jako Chrystusowa ofiara na oltarzu dziejów ludzkości, jako polityczne uosobienie myśli Zbawiciela.

A Balladyna? W chwili wyrzeczenia sobie właśnie ostatniego wyroku „winna śmierci!“ z wiszącej nad zamkiem czarnej chmury uderzył piorun i obalił nieszczęsną a z ponad tej chmury, uniosła się w obłoki smętna postać Goplany, uczepionej rączkami o splot odlatujących żórawi! Jednocześnie z upadkiem kraju, geniusz narodu uderzył w szlachtę ciosem śmiertelnym moralnego potępienia; lecz odlatując z ponad niw okrytych całunem żałoby, ulatywał na czas tylko, zostawiając po sobie nadzieję, iż z nową wiosną na tejże szarfie przelotnych żórawi znów nam swoboda w cudnej postaci królowej fal napewno spłynie! Istotnie, czyż nie czujemy tu teraz owych chórów prorockich, jakie z ciszy wiekowej miał nam wydobyć poeta?

Oto tedy i historyczna treść tragedji: miała matka dwie córki — starsza siostrę zabiła i królową została, występną piorun sprawiedliwości obalił! Teraz pytamy czy też istotnie piorun ten, co spadł na chwilowe Balladyny panowanie, roztworzył nam, jak obiecywał poeta, mgłę dziejów przeszłości? czy przeświadczenie narodu

o sobie samym stało się ztąd choć o jeden promyk jaśniejszem, bogatszem, choć o jeden promyk bardziej prawdziwem, bardziej zdobnem w piękno? Niezawodnie. Nietylko bowiem wieszcz tu surowe przeświadczenie narodu prawdy ujmuje w wykończone, estetyczne formy piękna, i oddaje je napowrót w żywych plastycznych postaciach artyzmu; lecz co więcej — swem twórczem natchnieniem rzuca jeszcze światło ożywcze w pomrokę dziejów. Objął on tak szerokie tło dziejowe, że na niem roztacza się żywot narodu w całej swej pełni: to tragedja żywa narodu, nie tragiczny epos Rzeczypospolitej. Balladyna królowa, ale z piętnem krwi na czole — czyn jej pierwszy to zbrodnia, to zabójstwo siostry własnej. Słowo dziejów narodu inne od słowa dziejów Rzeczypospolitej i właśnie pierwsze z nich autor wypowiedzieć nam był zamierzył. Słowo to a tragedja to jedno. Z gminowładnego łona słowiańskiego opola, pod tchnieniem potrzeb dziejowych, wykwitają stopniami rozliczne pierwiastki społeczne: gdzieindziej, pod jaśniejszą czy powszedniejszą gwiazdą, układają się one w pewną harmonizującą się w sobie działalność umiarkowanego dramatu; u nas gra ich życiowa charakter tragiczny przybiera. Szlachta, arystokracja, pierwiastek co na wyżynie dziejów wieńczy się koroną wszechwładztwa, kroczy przez nie z podniesioną głową, potrącając, depcąc i niwecząc jeden po drugim wszystkie inne pierwiastki społecznego i politycznego bytu narodu — co krok to cios, co krok to krzywda, co krok, to zbrodnia! Pochód taki złowrogi, przy zewnętrznym majestacie i potędze, wypełnia cały zakres wewnętrznych dziejów naszych ubiegłych i dzieje te całe stają się jedną wielką, groźną, ponuro-poważną, uroczo-smętną a wspaniałą tragedją! Główną onej postacią jest Balladyna, ona jest królową polską, i jest rzeczywiście taką jak ją nam Słowacki przedstawia. Nie myślimy jednak aby on i drugiej strony naszych dziejów, strony posłanniczej wśród zadań chrześciańskiej cywilizacji, poważnej, majestatycznej, etycznie nie rozumiał równie żywo; owszem — nie mógł on jej tylko zarazem w swym utworze rozwinąć i poprzestal na wskazówce, na obrazie matki jako Chrystus umierającej.

Ironia przecie, jaką poeta okrył w Epilogu nasze dziejopisarstwo, jest może przyostra; chociaż w istocie cóż nam Wawel, dziejopis na wszystko zaszłe powiada?

„Z ziarnka piasku dójść można do obrotu słońca,
Zaciekając się w rzeczy wydarzonej jądrze.
Królowa jak Salomon panowała mądrze;
Więc musiała być mądrą — przy mądrości cnota.“

a dalej:

„Sądzę o piorunie
Że kiedy burza bije, trzeba bić we dzwony“ —

Oto bez mała jak nam o dziejach Rzeczypospolitej podają powszednio, powszedni jej dziejopisowie i historyczni etycy. Jak też inną Słowackiego Balladyna, o ile wyraźniejsza, o ile prawdziwsza! Czyż nie należy mu się nic za dodanie tu jaśniejszego promyku światła?

Czuje on sam żywo wartość wieszczego opromieniania dziejów, gdy zwraca się do Krasińskiego: „O! nie mów mi że z dzwonków polnych większa ozdoba ruinom niż z tego wieńca myśli, w który je ubierze poeta: bo choć róże rosnące na ruinach pałacu Nerona rozwidniły nam pięknie te gruzy, to jednak jaśniej mi je oświecił ów duch Irydjona, któregoś ty pod krzyżem w kolosseum położył i nakrył złotemi skrzydłami Anioła“. Z równem prawem niemal toż samo możemy powiedzieć o Balladynie.

W ostatecznym nakoniec wyrazie — Balladyna jako poetyczny utwor, jako tragedja, dopiero wtedy ukazuje się nam w całym blasku swego uroku i mocy, jeśli ją obejmujemy jednocześnie zarówno z artystycznej jak i historycznej strony: sztuka tu zdobywa na szczytności i głębi, historja przywdziewa się urokiem piękna, a utwor wywiera nieopisanie urocze i potężne wrażenie. Nie zwracając się do ogółu dwulicowej, znanej nam treści tragedji, jaki to układ przedmiotu, jakie wiązanie części, ile pojedynczych obrazów pysznych, obrazków ujmujących, myśli światłych, oderwanych wyrazów nawet pełnych ukrytej przenośni! A wszystko, dopiero tylko tak wszechstronnie objęte, nabiera żywego znaczenia, głębszej siły, przestaje się zdawać fantastycznie znikomem. Dopiero wszechstronne pojęcie Balladyny jest pojęciem istotnem, a nawet i jedynie artystycznem w pełnem znaczeniu tego wyrazu. Jak każdy jednak utwor sztuki głębszy, nie bywa ona od razu należycie zrozumianą, trzeba się wmyśleć, by ją pojąć całkowicie; czytana raz pierwszy robi swoje wrażenie — miłe, ujmujące, ale zbyt nieokreślone, zbyt fantastyczne: dla całkowitego zrozumienia i ocenienia jej, musi ona być czytaną powtórnie — a im głębiej rozważana, sprawia wyższą artystyczną rozkosz! Zajmuje więc ona istotnie i zająć musi rzeczywiście jedno z bardziej znaczących miejsc w naszej literaturze, w naszej poezji, w naszej sztuce: jeśli zaś nie była podjętą na razie, w sposób jedyny a upragniony przez jej autora, to przecie ten jego, „najpiękniejszy rapsod“ nie „w głębi fal egejskiego morza“ a „w sercach ludzi zatonął“ i Balladyna jego, że posiada właśnie „wewnętrzną siłę żywota,“ najzupełniej zgodnie z historją, zostanie królową Polską sztuki!

(Dok. nast.)

MAŁODUSZNI.

KOMEDJA W 5. AKTACH

BRONISŁAWA KOMOROWSKIEGO.

AKT I.

(Ciąg dalszy).

Scena VI.

DAWNI, NAPOLEON, po chwili BOGUSŁAW, później JADWIGA.

NAPOLEON (wchodząc z wielkim zapędem.)

Alojzy! panie Alojzy! Jesteś tutaj. Twoje szczęście — hę — a wiesz ty co? Chacha! Toż to cię wypatrzyli

dobrze — już po szlachcicu! *Parole d' honneur!* hę? — Już po tobie panie bracie! Chachacha!

ALOJZY i TEOFIL.

Cóż się stało, na Boga! co się stało?

NAPOLEON.

Hę? — nic, nic — to tylko drobna afera, mały rozbój — przyjdą, złupią, wystrzelają.... naboje, hę — i pójdą do lasu z swoim gołowąsym hetmanem. Igraszka! igraszka demagogiczna! Śmiać się z tego! Jak się to państwu podoba?.... hę?

ALOJZY.

Bójcie się Boga, pewnie napad! Hej, zamykaj bramę, komu życie miłe! To nie przelewki — z demagogami nie ma żartów! Jędrzeju, masz ty sumienie gapić się teraz? Spiesz, zamykaj bramę! I furtkę! A może uzbroić służbę? Radź, mów, rozkazuj majorze! (Jędrzej odchodzi.)

TEOFIL (przed siebie.)

„Kto się w opiekę odda.....“

NAPOLEON.

Hę? uzbroić służbę? A czyż my własnych rąk nie mamy do korda! Hę? Wygasła już do szczętu wiara szlachecka? Niech ciury patrzą rondla i patyny! — Jak się to państwu podoba? hę? Lada chłystek dowódzcą, pułkownikiem! I to ma być powstanie narodowe — słyszeliście państwo — hę?

ALOJZY.

Ale powiedz: co wiesz o powstańcach, majorze! Czy idą na mój dwór? — czy istotnie już po nas?

SŁAWINA (zbliżając się z Sewerynem do rozmawiających.)

Więc masz już o tej partji dokładną wiadomość majorze? Gdzież się zebrała?

NAPOLEON.

Tylko o pół mili ztąd — ot, w borze, gospodaruje już w najlepsze — słyszeliście państwo? hę! I to ta sama, którą zapowiadała nam wczoraj księżna jejmość — chachacha! pod dowództwem jakiegoś młodzika, którego potrzeba było sprowadzać aż z Paryża, gdyż tu w kraju, w powiecie, brak jest zupełny ludzi fachowych, zasłużonych, znanych... hę. jak się to państwu podoba?

ALOJZY.

W gniazdowickim borze! Otóż macie; a nie mówiłem, że będzie licho....

SEWERYN.

Któż jest ów młody dowódzca oddziału? Znasz go z nazwiska panie majorze?

ALOJZY.

I co chce od Gniazdowic, powiedźcie mi państwo?

NAPOLEON.

Co chce? hę! Kaci go wiedzą! Tyle wszakże pewna, że bić się nie chce z Moskalami, bo komuż to się bić tam, gdzie panie stal a nie trzcina w robocie! hę — zbijał bruki w Paryżu i był emigrantem — to kwalifikacja! Jak się państwu podoba taki pułkownik?

SŁAWINA.

Tem mniej więc potrzebujemy się obawiać jego potęgi! Cóż wreszcie spotkać nas tu może ze strony tego Alcibiadesa? Toż jakkolwiekbądź nie sprawi nam przecie hajdamaczyzny, ani zabierze w jasyr, choćby przez uszanowanie dla poważnego stanowiska obywatelskiego gospodarza domu... (Wchodzi Bogusław.)

ALOJZY.

Zapewne, powinien, jeśli choć krztę ma patrjotyzmu i mózgu we łbie —

TEOFIL.

Jeśli choć odrobinę ma Boga w sercu, uważasz marszałku —

NAPOLEON.

Hoho! znamy takich pułkowników, których nie dawno odłączono od mamki! A czy on to pytać będzie o Moskala, sądzicie państwo? Hę — kontrybucję nałoży na szlachcica, obje szlachcica, ze skóry złupi szlachcica, taki paryski pan pułkownik!

ALOJZY.

Aj!....

NAPOLEON.

Ze szkoły jenerała, jak pan Mierosławski, hę? — Słyszeliście państwo?

ALOJZY.

Cóż tedy począć, co począć majorze? Mierosławczyk, o Jezu! Co począć?

SŁAWINA (do Bogusława.)

Czy wiesz pan, że powstańcy są już tylko o pół mili ztąd? Nie przepuszczają nikomu, nie, i trzeba będzie pójść w lasy....

BOGUSŁAW.

W lasy.... panienko święta! I panie pójdą z nami w lasy?

SŁAWINA.

A naturalnie! cóżbyśmy robiły same na świecie? Chacha, poczciwy jesteś sobie Kasztelanicu! — Panowie! cóż tedy udecydowaliście na radzie wojennej?

NAPOLEON.

Hę — jak się państwu podoba taki pułkownik?

ALOJZY (do Teofila.)

Pięknie radzisz pan dobrodziej zdać się na wolę bożą — ale patrzyć nam trza także bezpieczeństwa naszych osób i domu, bo jużci pan Bóg nie postawi nam anioła z mieczem u bramy, ażeby przepłoszył napastników. Jakże sądzicie państwo: gdyby co rychlej wezwać pomocy jenerał-gubernatora? Z Mierosławczykami to straszna rzecz, bójcie się Boga!

SEWERYN.

A, panie marszałku, tego bym nie doradzał nawet w ostateczności....

ALOJZY.

Ba, ba! to nas tu wszystkich wyrżnąć gotowi, jak cię szanuję! Nie wiesz chyba kto są ci czerwoni, ci czerwoni, ci uczniowie pana Mierosławskiego —

TEOFIL.

Uważasz pan — ja bym się zawsze odwołał do władzy, bo wszelka władza od Boga pochodzi...

SEWERYN.

Więc i władza demagogów czy Mierosławczyków pochodzi od Boga!

TEOFIL.

Właśnie bo — uważasz — ci, których dopiero co wymieniłeś są najgorsi z bezbożników....

SEWERYN.

A! tak...

NAPOLEON.

Słyszeliście państwo? hę — jak wam się podoba taki pułkownik?

ALOJZY.

Majorze! w tobie cała nadzieja: radź, działaj, jak uznasz za stosowne — (Jadwiga wchodzi).

JADWIGA.

Jakto? kazałeś bramę zatarasować bracie, i strzedz dworu? A to z jakich powodów?

ALOJZY.

Bo mię tu najdą, obedrą, krew wyssą ze mnie! A na co mi tego!

JADWIGA.

Jednak nie godzi się z domu obywatelskiego robić fortecę, rozważ tylko Alojzy! Wiesz zresztą jak nazywają rycerzy walczących z wiatrakami, a obawy twoje przypominają wiatrakowe strachy...

ALOJZY.

Jadwiniu, chyba nie masz litości dla samej siebie! Pod bokiem rewolucja, krew się leje, a ja nie mam myśleć o bezpieczeństwie domu?! Mój dwór musi być fortecą, jeśli o pół mili tylko, w lasach czyha nań napaść

JADWIGA.

Gdyby, przypuszczam, tak było istotnie: godziż się widzieć wrogów w swoich ziomkach? Wstyd doprawdy... przecież i ci osławieni tu powstańcy, demagogi, czy jak ich tam nazywacie, są Polacy równie jak my, — o tyle chyba różniący się od nas, że poświęcają życie za najdroższą sprawę, podczas gdy my...

NAPOLEON.

Gorąco, gorąco mówi siostra — hę — bo to młodzi zawsze idą za młodymi! — hę? — Jak się państwu podoba gołowąsy ów pan pułkownik?

ALOJZY.

Zmiłujcie się, jeśli już demagogów mamy uważać za Polaków, to za kogoż to mieć będziemy siebie?...

SŁAWINA.

Panie marszałku, proponuję pośrednictwo moje między opinią pana a tej kochanej orędowniczki powstańców: brama niech zostanie otwarta na razie; czekajmy dalszych wypadków!

SEWERYN.

Tak i ja sądzę: czekajmy dalszych wypadków...

ALOJZY.

Zdanie księżnej wiele ma za sobą, byle tylko za późno nie przyszło nam opatrywać się przed niebezpieczeństwem! Zgoda, czekajmy na wypadki. Daj Bo , żeby oni uszanować umieli dom obywatelski. Może wreszcie będą mieli dla mojej osoby coś nieco respekt ze względów politycznej natury; bądź jak bądź reprezentuję obywatelstwo powiatu i nie pochlebiając sobie zostaję w dobrych stosunkach z jenerał-gubernatorem, o którym — chcąc być szczerym — nic złego powiedzieć nie mogę. Zarzucają mu naprzykład, proszę państwa, że chłopów i żydów gnębi, poufale żyjąc z szlachtą — jakby to było grzechem uszanować urodzenie i stanowisko społeczeńskie!

NAPOLEON.

Hę — nie mów mi nic bracie o tym swoim jenerał-gubernatorze, co Moskal to ladaco i basta! Krzty tam nie znajdziesz przyzwoitości, *parole d' honneur!...*

SŁAWINA.

A, nie pozwolę wygłaszać tak złej opinii o Rossjanach, panie majorze! Może pan bliżej nie poznałeś Rosjan; nie wchodziłeś w dystyngowane towarzystwo rosyjskie, którego oczywiście nie znajdziesz w Lublinie ani nawet w Warszawie, mam tu bowiem na myśli Petersburg, Moskwę; gdyż z pewnością z większą względnością wyrażałbyś się o tych „Moskalach....."

(Służba wnosi i zastawia śniadanie.)

NAPOLEON.

Któż by szukał Moskala aż w Petersburgu — hę — gdy on tu nogami depce wszystko co ma poczucie godności i honoru? Na polach Ostrołęki, Grochowisk, Woli, poznałem Moskali i powtarzam: co Moskal to carski sługa, a taki sługa nie wart ostrego naboju! Hę — szanuję przekonanie jejmości dobrodziejki, lecz mojego zdania o Moskalach nie zmienię.

ALOJZY.

Wybacz majorze, ale dalibóg przesadzasz, biorąc rzecz z czysto wojskowego stanowiska. Sądźmy ludzi bez uprzedzenia. Cóż ci ten nasz jenerał-gubernator zawinił naprzykład? Człek umiarkowany i wyrozumiały na niejedno; a że tam mości dobrodzieju tego — na palce patrzy, to jego już słabość taka, a szlachcic przygotowany na to. To dopiero prawdziwe nieszczęście, jak w ościennej gubernii, gdzie sypiesz złotem bez miary i zniszczysz się na łapowe, a nie wywiniesz się mimo to. Podzielam tedy zdanie księżnej dobrodziejki, że ot, jak dałem przykład, rozmaici zdarzają się Moskale....

NAPOLEON.

Hę — jak się państwu podoba ów młody pan pułkownik?

JADWIGA.

Śniadanie czeka na łaskawych gości. Wolnoż prosić?

ALOJZY.

Śniadanie — a! prosimy.... (Do Teofila.) Panie sąsiedzie, obrabiasz mi znowu artystę! Po śniadaniu, po

śniadaniu aż pozwolę! Bądź tedy łaskaw na moje wezwanie.... Panie kasztelanicu dobrodzieju, pozbądź złej myśli, pan Bóg nas nie opuści? Byle przetrwać te ciężkie czasy, jakoś to będzie. Jadwiniu, proszę księżną i sąsiada —

JADWIGA.

Proszę, proszę wszystkich....

SŁAWINA.

O! my pewnie nie zapomniemy o sobie panie gospodarzu. Kasztelanicu, waćpan straciłeś kompletnie mowę z przerażenia? Wstydź się nas kobiet.... Czy także boisz się powstańców, panie Sewerynie?

SEWERYN.

Żyjemy przecie w 19. stóleciu!

SŁAWINA.

O, w tem podobnoś najsłabsza dla nas pociecha —
(Rozbierają filiżanki.)

C. d. n.

ROZMAITOŚCI.

O pomniku dla Juliana Bartoszewicza pisze *Gazeta Warsz.*: Oprócz grobu murowanego wznoszącego się kosztem rodziny na cmentarzu Powązkowskim, czciciele pamięci nieodżałowanego dziejopisa postanowili wznieść pomnik dla niego w kościele Opieki św. Józefa, ozdobionym już posągami Tadeusza Czackiego i Kazimierza Brodzińskiego, dłuta Sosnowskiego i Oleszczyńskiego. Praca około pomnika Bartoszewicza już się w znacznej części posunęła w zakładzie artystycznym p. Andrzeja Pruszyńskiego. Według planu tego utalentowanego rzeźbiarza, pomnik stanowić będzie wielka tablica z białego marmuru karraryjskiego, otoczona ozdobnie rzeźbionemi ramami z takiegoż marmuru szarego. Nad nią na tle z szarego marmuru, opasanem takiegoż koloru wieńcem laurowym i ozdobionem emblematami zawodu pisarskiego Bartoszewicza, umieszczony będzie w płaskorzeźbie z białego marmuru troskliwie wykonany portret dziejopisa. Wierzchołek pomnika będzie uwieńczony krzyżem. Pomnik ze stosownym napisem, przypominającym zasługi zmarłego i myśl, która natchnęła wzniesienie tej pamiątki, umieści się na jednym z filarów głównej nawy kościoła Opieki Ś-go Józefa. O ile wnosić możemy z wykonanych już części pomnika i z całości jego w rysunku, będzie to obok uczczenia prawdziwej zasługi, niepospolita a rzadka u nas ozdoba świątyni. Koszt budowy pomnika, obliczony nader skromnie na 400 rsr., tłómaczy się jedynie pragnieniem artysty przyłożenia się także ze swojej strony do oddania hołdu zasłudze i twardej pracy, której radości, gorycze i zawody sam p. Pruszyński, jak wszyscy niemal u nas ofiarnicy nauki i sztuki, zna z własnego doświadczenia. Składki na pomnik wynoszą dotąd około 200 rsr., pozostaje więc jeszcze zebrać drugie tyle.

Konkurs Tow. historyczno-literackiego w Paryżu. Z dniem 3 maja b. r. upłynął termin konkursu ogłoszonego przed dwoma laty przez tow. historyczno-literackie w Paryżu; gdy jednak wypadki ubiegłego roku przerywając wielu rodakom naukowe prace, mogły niejednemu z chcących się ubiegać o nagrodę przeszkodzić w ukończeniu na czas rozpoczętej już rozprawy, obecny zaś stan Paryża nawet zwykłego publicznego posiedzenia towarzystwa odbyć nie pozwolił, rada Tow. postanowiła wspomniony konkurs przedłużyć o rok jeden; o czem podając do wiadomości publicznej, mam zaszczyt warunki konkursu ogłosić.

Przedmiotem żądanej rozprawy jest „Unia lubelska 1569 r., z poglądem na przygotowujące ją wypadki od Zjazdu Horodelskiego.“

Rozprawa ma wynosić od 6—10 arkuszy druku. Rękopisma powinne być przesyłane bezimiennie pod adresem sekretarza tow. historyczno-literackiego (Paryż, Quais d'Orléans 6,) najpóźniej do 1. marca 1872 r. i opatrzone godłem wybranem przez autora a umieszczonem także na osobnym opieczętowanym liście zawierającym jego nazwisko, który autor do rękopismu dołączy. Najlepszej rozprawie przyznaną będzie nagroda 1200 franków; autor pracy drugiej z rzędu otrzyma 600 fr. Na posiedzeniu publicznem dnia 3 maja 1872 r. rada tow. przyzna obie nagrody i nazwiska autorów ogłosi; listy z nazwiskami pisarzy, których prace nagrody nie otrzymają, nierozpieczętowane spalone zostaną. Gdyby do 1 marca 1872 r. nie była przysłaną żadna praca, któraby w myśl tego konkursu zasługiwała na nagrodę, w takim razie cała suma 1800 franków ofiarowaną będzie autorowi dzieła historycznego polskiego, które w ciągu ostatnich lat trzech wyjdzie z druku, i które rada za najlepsze osądzi.

Dnia 4 maja 1871.

Bronisław Zaleski,
sekretarz tow. hist. lit. w Paryżu.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Władysław Bełza. Poezje, wydanie nowe. Poznań. nakładem J. K. Żupańskiego. 1871.

Poezja Polska dziewiętnastego stólecia rozkwitła całym wdziękiem piękności, całą siłą potęgi — doszła do szczytu. Mickiewicz, Słowacki, Krasiński stworzyli Partenon narodowej poezji — a dzieła ich, szczególniej Mickiewicza śmiało zrównoważyć można z Getem, Szyllerem i Szekspirem. Jedna improwizacja z „Dziadów,“ Dziady, Pan Tadeusz... nie zblednie wcale wobec Fausta, Iljady albo Leara, ale owszem obok tych olbrzymich arcydzieł poezji całego świata, jaśnieć będzie równem pięknem i równą powagą! Obok trzech mistrzów ugrupował się cały chór poetów drugiego rzędu jak: Zaleski, Goszczyński, Gorczyński i inni; każdy z indywidualną właściwą sobie cechą, każdy składający uczuć kwiaty do przybytku piękna, każdy prawie bolejący nad niedolą Ojczyzny, każdy spoglądający w lepszą przyszłość, ale — bez jenjuszu, bez ich potęgi. I nic dziwnego, bo tylko okresy i epoki wydają jenjuszów; i długu czekać będzie trzeba niezawodnie, nim po wielkiej dziejowej burzy, błyśnie znowu Gete albo Mickiewicz nowy.

Ze śmiercią Adama, Słowackiego, i twórcy Nieboskiej komedji, z ucichnięciem harf jego naśladowców, zakończył się piękny okres rozkwitu poezji naszej.

Ostatnie czasy, pominąwszy prawdziwe błyski poetyczne przedwcześnie zgasłych młodzieńców, nie wydały oprócz El...y, ani jednego prawdziwego poety; wszystko co wyszło, było albo konwencjonalnem, albo też słabem naśladowaniem pierwowzorów, albo tłumaczeniem obcych poetów, — nic oryginalnego, ani prawdziwie pięknego nie było. W El...ym, ujrzeliśmy dopiero trzy istotne pierwiastki poezji, będące w ścisłej harmonji z sobą t. j. fantazję twórczą, wyobraźnię i refleksję. To też El...y jest dotąd jednym ze znakomitszych poetów w ówczesnej epoce naszego piśmiennictwa.

W obecnej chwili znowu prawdziwym poetycznym talentem obdarzony jest Władysław Bełza, o jego więc poezjach, które temi dniami dopiero opuściły prasę w Poznaniu mówić zamierzamy.

Uprzedzić musimy czytelnika, że z wielką niecierpliwością oczekiwaliśmy wyjścia, już tak dawno zapowiedzianych poezyj młodego poety, mieliśmy bowiem nadzieję, czytając jego utwory po czasopismach, że nas obdarzy czemś — na co czekamy — t. j. prawdziwem pięknem. I nie zawiedliśmy się wcale.

Poezje Władysława Bełzy obejmują dosyć spory tomik i rozpadają się na dwa główne działy t. j. na większe i mniejsze utwory. Z pomiędzy pierwszych szczególniej uderza wykończoną formą i prawdziwem natchnieniem pieśń pod tyt. „Polskiemu pacholęciu“ i poezja p. t. „Fragment.“ Ostatnia, jest pieśnią o miłości — sielską, rzewną, kwiatkiem może utworów młodego piewcy.

Ileż np. wdzięku w pierwszym zaraz jego ustępie:

Było to dziewczę hoże, uśmiechnięte,
Na poły ziemskie, a na poły święte.
Z jasnemi sploty warkoczów u czoła.
I z rozwianemi skrzydłami anioła!
A tak się światu uśmiechało słodko,
Tak się wdzięczyło, jak róża do słońca!
Zgasłaś już, zgasłaś serdeczna pieszczotko!
Zaszło słoneczko w mrok ciemny bez końca

Z pomiędzy drugich t. j. (mniejszych poezyj), jakkolwiek wszystkie są miluchne, czyste jak perełki, jednak wymienić trzeba następujące dla tego, że w nich więcej siły i więcej fantazji:

„Melodje biblijne“, „Polskim muzom“, „Nocą“, „Kobiecie“ i, prześliczny przekład, „Rezygnacji„ Szyllera.

Pragnęlibyśmy z każdego wiersza umieścić choć mały ustęp, aby lubować się wdziękiem tych kwiatków, ale szczupłość ram niniejszego pisma ograniczyć nas musi na przytoczeniu jeszcze chociaż czterowiersza, ostatniego utworu w poezjach p. Bełzy p. t. „Ojczyzna“, który zdaniem naszem policzyć się może do najpiękniejszych.

Więc nie zginęłaś Ojczyzno moja!
Ty nam wygnańcom świecisz jak zbroja!
A gdy blask nocnej rozstrzeli zorzy,
Bóg nam tę zbroję na pierś położy!

Kończąc niniejszy krótki tylko przegląd powyższych poezyj, witamy w p. Władysławie Bełzie młodego poetę z wyrobioną już formą i prawdziwem natchnieniem, oczekując, że niedługo przyniesie dla naszego piśmiennictwa większą niezawodnie pracę — a spodziewamy się, że nadzieji naszych wcale nie zawiedzie.

H. W.

Przegląd lwowski wydał już wyrok potępienia pismu naszemu. Nie dziwimy się bynajmniej, bo szanowna Redakcja „Przeglądu lwowskiego“ wyrokuje o wszystkiem i o wszystkich w błogiem mniemaniu, iż jest nieomylną. Słabość ta jest chroniczną, powtarza się w każdym artykule pisma, które broni świętości nie potrzebującej obrony. Nie przeszkadza to przytem szan. redakcji „Przeglądu lwowskiego“ z namaszczeniem — kłamać żarliwości dla wiary, Boga, kościoła i t. p., żarliwości, za którą płacą jezuici.

Treść trzech numerów „Woli“:

Prenumerata zamiejscowa z przesyłką pocztową:

półroczna . . .	4 złr.	— ct.
kwartalna . . .	2 „	— „

Prenumerata miejscowa:

półroczna . . .	3 złr.	50 ct.
kwartalna . . .	1 „	75 „

Prenumeratę zamiejscową przyjmują wszystkie urzędy pocztowe pod adresem: Administracji „Woli“, Lwów, we Lwowie składać można przyedpłatę we wszystkich księgarniach lwowskich, i w Administracji „Gazety Narodowej.“

Od Redakcji.

Panu M. F. W. we Lwowie. Rymów „Zakochana“, drukować nie będziemy. Zniszczono rękopis jak sobie Pan życzyłeś.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca: *Teofil Szumski.* Z drukarni J. Dobrzańskiego & K. Gromana.